

# Bohdan Kołomijczuk

## EKSPRES DO GALICJI

kontynuacja „HOTELU WIELKIE PRUSY”

Wydawnictwo Anagram

Warszawa 2021

Tytuł oryginału: Експрес до Галиції

© Copyright by Wydawnictwo Stary Lew  
© Copyright for the translation by Ryszard Kupidura  
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Anagram,  
Warszawa 2021

Tłumaczenie  
Ryszard Kupidura

Redakcja i korekta  
Katarzyna Kusoń

Projekt okładki  
Ewa Kutylak

Opracowanie komputerowe:  
Wanda Mierzejewska  
(e-mail: [wanda.mierzejewska@interia.pl](mailto:wanda.mierzejewska@interia.pl))

Książka ukazała się dzięki finansowemu wsparciu Ukraińskiego  
Instytutu Książki w ramach programu *Translate Ukraine*

Ця книга була видана за сприяння грантової програми  
підтримки перекладів *Translate Ukraine*

This book has been published with the support of the  
*Translate Ukraine* Translation Grant Program

ISBN 978-83-65554-95-6

Wydawnictwo ANAGRAM  
ul. Niekłańska 35 lok. 1  
03-924 Warszawa

Księgarnia internetowa:  
www.anagram.com.pl  
e-mail: [anagram@adres.pl](mailto:anagram@adres.pl)

*Człowiek jest czymś, co trzeba przezwyciężyć.*

Friedrich Nietzsche

*Der Mensch ist Etwas, das überwunden soll.*

Friedrich Nietzsche,

*Also sprach Zarathustra*

*Człowiek jest czymś, co trzeba przezwyciężyć.*

Friedrich Nietzsche,

*Tako rzecze Zarathustra*

## I

### Wenecja

2 kwietnia 1906

Są miasta, których nienawidzisz od pierwszego wejrzenia...

Zwykle nie dlatego, że brakuje im atrakcyjności. Wcale nie... Wielu turystów zakochuje się w nich na śmierć. Szkicuje w notesie zabytkowe świątynie i perspektywę wąskich średniowiecznych uliczek. Przywołuje wiersze miejscowych poetów i wysyła do domu nastrojowe pocztówki. A jednak zdarza się, że kiedy twoja stopa stanie na peronie dworca w takim mieście, głęboko w duszy rodzi się chęć natychmiastowego kupienia biletu powrotnego i jak najszybszej ucieczki.

Anton Piller, czterdziestodwuletni niezależny korespondent berneńskiego tygodnika „Die Neue Post” i współpracownik wydawnictwa Alle Sterne, przyjechał dziś w porze obiadowej do Wenecji pociągiem z Zurychu. Podróż tę trudno nazwać przyjemną lub przynajmniej znośną. Piller musiał tłuc się ponad dobę w niewygodnym przedziale drugiej klasy. Sprawy w redakcji i wydawnictwie szły mizernie, więc nie miał co marzyć o miejscu w pierwszej klasie. Co więcej, nie miał pieniędzy na powrót. To, co mu zostało w portfelu, wystarczy jedynie na tani hotel i skromną kolację.

Mężczyzna wiedział jednak, że nie na próżno męczył się w podróży. Jutro odbędzie się spotkanie, po którym wreszcie skończą się jego wszystkie trudności finansowe. Może nawet spojrzy wtedy inaczej na to miasto. Póki co jednak, paląc piątego w ciągu ostatniej godziny papierosa i wydmuchując dym przez małe hotelowe okno, za którym czaiła się wilgotna przedranna ciemność, Anton Piller szczerze nienawidził Wenecji...

Hotel, w którym zatrzymał się Szwajcar, znajdował się niedaleko placu Świętego Marka, przy jednej z wielu wąskich uliczek, gdzie dwójka przechodniów, aby się minąć, musiała przyciskać się do ścian. Te przekłete weneckie zaułki były podobne do siebie jak dziurki w nosie, przez co Piller ponad godzinę szukał właściwego adresu. W dodatku ani na moment nie wypuszczał walizki z rąk, co przysparzało mu dodatkowego wysiłku. Dopiero gdy znalazł się przed koślawymi drzwiami Hotelu del Sole, postawił bagaż na bruku i z grymasem na twarzy zaczął rozcierać zeszywniałe palce. Po chwili spojrzął w górę. Pod wąskim pasem nieba widać było ostre krawędzie otwartych okiennic. To pewnie gdzieś tam, na drugim lub trzecim piętrze, przygotowano dla niego pokój...

– *Attenzione!* – usłyszał nagle za swoimi plecami, po czym ktoś go nieprzyjemnie pchnął.

Piller boleśnie wpadł twarzą na drzwi hotelu, ale udało mu się utrzymać na nogach i od razu odwrócić w stronę krzywdziciela. Jednak niski, barczysty kupiec, nie oglądając się za siebie, włókł już dalej uliczką swój dwukołowy wózek, na którym umieszczony był wielki wiklinowy kosz wypełniony po brzegi jakimiś tobołkami.

– Psi synu! – krzyknął za nim ze złością Szwajcar, po czym zaczął wycierać krew z nosa.

Kiedy udało mu się ją zatamować, schował zakrwawioną chusteczkę z powrotem do kieszeni i poprawił kapelusz. Następnie podniósł z chodnika walizkę i wszedł do portierni hotelu.

Zaspany recepcjonista leniwie podniósł głowę i spojrzął na gościa. Na jego pulchnym policzku pozostał odcisk dłoni, na której się podpierał. Czarne rozwichrzone wąsy uniosły się do góry, a czerwone jak u dziewczyny usta ułożyły w coś na kształt przyjaznego uśmiechu.

Obok niego na ladzie stał telefon, zaśniedziały dzwonek z brązu i nierówny stosik papierów. Na ścianie wisiał zegar, wskazujący miejscowy czas. Była czwarta po południu.

– Dzień dobry, signore – przywitał się ochrypłym głosem.

Piller spojrzął na jego twarz z czerwoną plamą i od razu pomyślał, że taki sam ślad zostałby po spoliczkowaniu. Wyobraził sobie nawet, jak z całych sił wali Bogu ducha winnego Włocha w mordę, a ten niemiejze z bólu i zaskoczenia i tylko wybałusza na niego swoje czarne, przypominające guziki oczy. Od razu przypomniał mu się kupiec, który tak bezpardonowo go potraktował. Szwajcara znów ogarnął gniew.

– Dzień dobry – powiedział do recepcjonisty, samemu wzdrygając się od nieprzyjemnego tonu swojego głosu.

– Czy ma pan zarezerwowany pokój? – zapytał Włoch, nie uśmiechając się.

Przybysz skinął głową i wyciągnął kartkę z numerem rezerwacji.

– Proszę chwilę poczekać – nakazał recepcjonista, otwierając hotelowy dziennik.

Po krótkich poszukiwaniach ponownie się odezwał:

– Czy pańskie nazwisko to Pillo?

– Piller – poprawił go gość.

– Och, proszę wybaczyć... Antonio Piller?

– Anton Piller, do cholery!

– Przepraszam, signore – zmieszał się recepcjonista. – Tak dobrze mówi pan po włosku, że aż się pomyliłem... Poproszę o pański paszport... O, pan jest Szwajcarem...

– Moja matka była Włoszką – powiedział Piller pojednawczo, kiedy zdołał się już opanować.

Recepcjonista szybko zapisał coś w zeszycie.

– Należy się pięć lirów – oznajmił, zwracając dokument.

Anton wyciągnął portfel z kieszeni na piersi.

– Śniadanie jutro o wpół do ósmej – dodał recepcjonista.

– Czy mogę z niego zrezygnować?

– Może pan, jednak to nie wpłynie na cenę pokoju.

– Do diabła...

– Czy zaprowadzić pana do pokoju?

– Dziękuję, poradzę sobie.

– Drugie piętro, drugie drzwi od strony schodów. Numer trzydzieści dwa... – Włoch położył na ladzie klucz z masywną greszką. Piller wziął go w milczeniu, podniósł walizkę i skierował się w kierunku schodów.

– Miłego pobytu w Wenecji – krzyknął za nim Włoch.

Niczego jednak nie usłyszał w odpowiedzi.

Pokój był obskurny, w środku znajdowały się stare, nieco już spróchniałe meble, świeża była na szczęście hotelowa pościel. Zresztą w tej chwili mężczyzna nie miał ochoty na nic innego oprócz wyspania się po ciężkiej podróży. Później zejdzie na dół i zadba o jakiś posiłek. Rozebrał się i poszedł do łazienki. Wrócił po kilku minutach, wycierając twarz i szyję hotelowym ręcznikiem z mocno już wyblakłym wzorem.

Przed snem Piller zajrzał jeszcze do walizki. Na wierzchu znajdowało się ubranie na zmianę, kilka gazet, pudełko z proszkiem do zębów i parę innych drobiazgów. Szwajcar jednym ruchem przełożył to wszystko na podłogę, po czym wyciągnął duży słownik niemiecko-włoski. Dopiero pod nim mieściła się najcenniejsza rzecz: gruby stos papieru w skórzanej obwolucie. Delikatnie przesunął po niej dłoń.

– Jutro – szepnął, ponownie zakrywając swój skarb książką, a następnie flanelową marynarką. Całkiem gustowną i jeszcze nieznoszoną. Pomyślał, że włoży ją na jutrzejsze spotkanie. Pod nią dobrze będzie leżeć jego ulubiona kamizelka, a do niej z kolei pasować będą nieco luźniejsze spodnie. Nie bez znaczenia były także obszerne kieszenie marynarki, bo będzie gdzie schować rewolwer.

Piller wzdrygnął się na wspomnienie o broni. Jego sześciostrzałowy schmidt<sup>1</sup> również spoczywał w walizce. Za podszewką, w sekretnej kieszonce, w której podróżni zwykle chowali pieniądze lub papiery wartościowe.

Rewolwer podarował mu przyjaciel jeszcze w czasach studenckich. Stało się to krótko po tym, jak chuderlawego i niskiego Antona pobito prawie na śmierć i obrabowano na przedmieściach Zurychu. Kiedy Piller podleczył się trochę, udał się wraz z przyjacielem na strzelnicę. Wtedy po raz pierwszy w życiu Anton nacisnął spust i poczuł, z jaką diabelską siłą i głośnym hukiem śmiertelna kula wylatuje z lufy. Gdy tylko uspokoiło się bicie jego serca, wywołane pierwszym oddanym w życiu strzałem, pomyślał, że wolałby już nigdy tego nie powtarzać. Wszystkie te zabawy z bronią i iskrzące się w podnieceniu oczy strzelców były najwyraźniej nie dla niego.

Wybierając się do Wenecji, postanowił jednak wziąć ze sobą rewolwer. Po pierwsze, podróż była dość daleka i momentami niebezpieczna, a po drugie, miał w walizce zbyt cenny rękopis, by nie zadbać o jego ochronę... Zresztą kto wie, jak ułoży się jutrzejsze spotkanie i kim okaże się ten cały Domenico Saltini, który o dziesiątej rano będzie na niego czekał w restauracji nieopodal mostu Rialto.

Szwajcar nie był pewien, czy restauracje w Wenecji otwierane są tak wcześnie. Choć z drugiej strony gdzieś muszą jeść śniadanie te wszystkie tłumy amerykańskich i brytyjskich turystów, którzy wstają o świcie, mimo że dopiero co zakończyli atrakcję *Venice by night*<sup>2</sup>, i z powodu okropnego hałasu, jaki robili nocą pod oknami miejscowych, mogą o sobie przeczytać na łamach porannych gazet. Jedno z tych czasopism zauważyło nawet sarkastycznie, że weneccjanie mają teraz okazję do nauki angielskiego bez wychodzenia z domu, wystarczy, że otworzą okno o dowolnej porze dnia i nocy.

O dziewiętnastej mężczyzna zszedł na dół, minął recepcjonistę, który ponownie zapadł w drzemkę, i wyszedł na zewnątrz. W pobliskiej piekarni kupił torebkę gorących grissini<sup>3</sup> i ruszył z powrotem do hotelu. Pieczywo, które miało stać się jego kolacją, przyjemnie grzało mu dłoń. Przez opakowanie przebijał się niesamowity aromat, od którego Piller dostał ślinotoku. Wreszcie, nie mogąc się oprzeć, postanowił zjeść po drodze część swojego posiłku. Wyjął z torebki jeden paluch i z apetytem odgryzł od razu połowę. Żując, zwolnił trochę kroku, a po chwili zatrzymał się całkowicie. Spostrzegł, że stoi bezpośrednio przed bazyliką Świętego Marka. Chimeryczne, ostre kształty świątyni wyróżniały się na tle zapadającego zmierzchu i szarego weneckiego nieba.

---

1 Cywilny model szwajcarskiego rewolweru Schmidt M1882 produkowanego przez Waffnenfabrik Bern.

2 *Venice by night* (ang.) – Wenecja nocą.

3 Grissini – włoskie pieczywo w kształcie paluszków.

Bazylika wydała mu się majestatyczna i już gotów był ją określić w myślach jako piękną, lecz jego żołądek znów przypomniał o sobie. Ostrem skurczem głodu poprosił o kolejną porcję pieczywa, na co Anton chętnie przystał. Wpychając sobie kolejny kawałek do ust, zauważył nisko krążące nad nim mewy. Najpewniej przyciągnęło je jedzenie, które w przybliżeniu zuchwałości gotowe byłyby wyrwać mu z rąk. Szwajcar przezornie schował torebkę, wtulił głowę w ramiona i omal nie pobiegł do hotelu, nie dając sobie szansy na to, by choć trochę polubić Wenecję.

Znalazszy się w swoim pokoju, najpierw ponownie rozpakował walizkę i sprawdził, czy rękopis jest na swoim miejscu... Nikt go nie tknął. Nikt też nie ruszał flanelowej marynarki przeznaczonej na jutrzejsze spotkanie ani nikt nie przełożył słownika niemiecko-włoskiego, którego Piller tak naprawdę nie potrzebował, bo doskonale znał oba języki. Nikt zatem nie wchodził do tego pokoju podczas jego nieobecności. Odetchnął z ulgą, dojadł pieczywo, po czym zapalił papierosa.

O dwudziestej pierwszej zaczął morzyć go sen. Położył się do łóżka, nie zamykając wcześniej okna. Z przyjemnością poczuł, jak senność delikatnie rozplywa się po jego ciele. Wnika w każdą kończynę, paraliżując ją i wprawiając w stan miłego odrętwienia. W końcu ustąpiła ta nerwowa gonitwa jego myśli i mężczyzna zasnął.

Pillerowi śnił się rodzinny Zurych, promenada nad Jeziorem Genewskim i spacer z synem. Po rozwodzie z żoną widział go tylko raz. W trakcie niewymuszonej pogawędki o świecie Anton próbował przemycić słowa o tym, że matka chłopaka niekoniecznie we wszystkim ma rację. To prawda, że zaczął zbyt często zaglądać do kieliszka i przez to stracił dobrą pracę wykładowcy na uniwersytecie, ale czy to powód, by od razu rozbijać rodzinę? Teraz, we śnie, zwierzał się synowi ze swoich planów:

– Wiesz, mały, wszystko będzie dobrze. Sprzedam ten rękopis i będę miał dużo pieniędzy. Słyszysz? Twoja mama wróci do mnie i wszystko będzie jak dawniej...

Chłopak skinął głową i w milczeniu jadł jabłko, jakby wcale nie obchodził go ich wspólny los.

– Słyszysz mnie? – powtórzył Piller, trochę urażony obojętnością chłopca. – Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

Niespodziewanie dla siebie Anton powiedział to niskim, dziwnym głosem, który przestraszył nawet jego samego. Głos nie rodził się w nim, ale gdzieś na zewnątrz. Tak jakby przemawiał ktoś obcy. Piller rozejrzał się za nieznanym, ale na promenadzie nie było nikogo innego oprócz nich dwóch.

– *Attenzione!* – wykrzyknął nagle malec.

Anton spojrział na syna ze zdziwieniem. Chciał zapytać, co się stało, ale wciąż bał się własnego głosu.

– *Attenzione!* – Chłopiec zaczął wrzeszczeć, a jego twarz przeszył okropny grymas.

– *Attenzione!*

Piller zerwał się z łóżka i zdezorientowany zaczął wpatrywać się w ciemność. Ktoś krzyczał za oknem, ciągnąc za sobą coś ciężkiego. Może nawet był to ten sam handlowiec, który wpadł na niego wcześniej. Gdy doszedł do siebie, zaczął szukać zapalnika i zegarka. Podświetlając ogniem tarczę, ze zdziwieniem odnotował, że jest dopiero trzecia w nocy. To przekłete miasto zdążyło już się obudzić!

– Cholerna Wenecja – powiedział cicho i ponownie zapalił zapalniczką o ścianę, tym razem w celu odnalezienia papierosów. – Nienawidzę tego miasta.

Sen zniknął bezpowrotnie. Do świtu mógł już tylko palić i myśleć. Nocny koszmar zastąpiły poranne męczarnie.

Doczekawszy siódmej, Anton powłókł się do łazienki i z przyjemnością zanurzył twarz w wodzie. Po niemal bezsennej nocy miał wrażenie, że jego głowa wypchana jest szmatami niczym strach na wróble. Przyglądając się sobie w lustrze, zauważył, że jego wygląd także pozostawia wiele do życzenia. Rozczochrane włosy sterczały na różne strony, oczy były opuchnięte, a zapadnięte policzki nabrały trupio bladego koloru. Bardziej niż siebie przypominał upiora z cyrkowej komnaty strachu.

Kiedy pewnego razu w Zurychu zatrzymał się wędrowny cyrk, postanowił wybrać się wraz z synem, żeby obejrzeć występy. Początkowo przyglądali się siłaczom i klaunom, ale potem mały zaciągnął ojca do namiotu z napisem „Wejź, jeśli masz odwagę”. W środku panowała całkowita ciemność i gdy ktoś wchodził za nimi, przeszywał ją promień dochodzącego z zewnątrz światła. Po kilku minutach, kiedy wewnątrz dało się odczuć obecność co najmniej dziesięciu dorosłych i dzieci, gdzieś w głębi rozblęskło jaskrawoczerwone światło elektrycznej latarni, ukazując znajdującą się za stalowymi kratami odrażającą postać.

W następnej chwili jej pokryta krostami paszcza wydała z siebie taki wrzask, że widzom aż pozatykało uszy. Dzieci z piskiem zaczęły uciekać z namiotu. Nawet dorośli poczuli się nieswojo. Ktoś nie powstrzymał się przed głośnym przekleństwem, ktoś inny nerwowo zarechotał. Jeszcze ktoś ruszył w stronę dziwadła, ale światło zgasło i postać zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.

Anton wraz z innymi, którzy wytrwali do końca przedstawienia, wyszedł z namiotu i odszukał syna. Ten stał w pobliżu, krzyżując ręce na piersi jak dorosły.

– Przestraszyłeś się? – zapytał, gdy podszedł do niego.

– Wcale nie. – Syn przecząco potrząsnął głową. – Od razu wiedziałem, że to tylko cyrkowiec wykrzywia swoją gębę. W życiu bywa o wiele straszniej.

– Co masz na myśli? – zapytał Piller, choć tak naprawdę domyślał się odpowiedzi.

– No, kiedy się napijesz, to czasami krzyczysz dużo bardziej przerażająco – wyjaśnił chłopiec. – O, lody! Kupisz mi?

Nie czekając na reakcję ojca, chłopiec pobiegł do kupca oblepionego dzieciakami jak muchami.

Anton znowu nabrał wody w dłoń i chlusnął sobie w twarz. Nawet ta pitna zalatywała w tym mieście zgnilizną. Można się tylko domyślać, ile chorób zaserwowała jego mieszkańcom. Zwłaszcza latem, wraz z nadejściem pierwszych upałów. Oto jeszcze jeden powód, by nie pokochać tego miasta.

A co do pijaństwa... Tak, syn miał rację. Alkohol pozbawiał go rozumu. Będąc pijanym, Piller nie stawał się agresywny, ale przestawał przypominać człowieka. Krzyczał, wykrzywiał twarz lub czołgał się po podłodze. Dobrze, że nie opuszczał wtedy domu, bo inaczej, zupełnie jak w cyrku, gromadziłby wokół siebie tłum gapiów, przez co jego syn i żona umarliby pewnie ze wstydu.

Na wspomnienie alkoholu Anton poczuł nieprzyjemne pieczenie w żołądku. Tego uczucia nie można było z niczym pomylić: przyszedł ranek, a jemu zachciało się napić.

– Obrzydlistwo. – Westchnął ze złością i przełknął ślinę, a raczej spróbował przełknąć. Od ciągłego palenia jego gardło było suche niczym piasek. Splunąwszy na podłogę, mężczyzna zanurzył głowę w misce z wodą. Zmusił się, by pozostać tak przez pół minuty, po czym wyprostował się, łakomie nabierając powietrza w płuca. Po trzykrotnym powtórzeniu tej czynności stwierdził, że czuje się już lepiej i może zejść na dół na śniadanie.

Jedzenie było paskudne. Wciąż mając w pamięci smak świeżego pieczywa, które jadł wczoraj na kolację, Piller zapakował sobie do ust czerstwą kanapkę i siłą woli zmusił się do jej przeżucia. Następnie popił letnią kawą i wyszedł z restauracji.

Do spotkania pozostało mu ponad dwie godziny, ale Szwajcar nie chciał dłużej siedzieć w hotelu. Poranek był co prawda dość chłodny, ale dzień zapowiadał się pogodny. Niebo nad miastem rozciągało swą błękitną, przejrzystą kopułę, a pierwsze czerwone promienie słońca ślizgały się po dachach starych kamienic. Piller owinął się płaszczem i nasadził głęboko kapelusz. Następnie wziął pod pachę zwój rękopisu i ruszył z hotelu szybkim, pewnym krokiem, jakby dokładnie wiedział, dokąd ma się udać. Bo najważniejszą rzeczą było teraz pozostawanie w ciągłym ruchu, by mu nie oszaleć z podniecenia i myśli, które od nocy ciągnęły się za nim jak pajęczyna. Obserwując go z boku, ktoś mógłby stwierdzić, że to miejscowy urzędnik spieszący do biura, by czym prędzej wrócić do przerwanej pracy. Jednak Piller nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd idzie. Mijając kolejne uliczki, place i mosty, dotarł wkrótce do dworca kolejowego, czyli miejsca, w którym wczoraj zaczął się jego pobyt w Wenecji. To był skraj miasta. Dalej rozciągał się widok na bezkresną zatokę, którą niczym strzała przecinała grobla, usypana najwyraźniej po to, by to miasto na wodzie połączyć linią kolejową z kontynentem. Przeciwległego lądu nie było widać, więc obserwujący odnosił wrażenie, że warkocz grobli ciągnie się donikąd. I tak samo donikąd, buchając kłębam dymu i pary, wyruszał z weneckiego dworca poranny ekspres. Piller zatrzymał się, by popatrzeć, jak pociąg powoli nabiera prędkości i jak od gwizdu lokomotywy zrywają się z dachów wagonów zgraje ptaków. Były to mewy i gołębie: dwa zamieszkujące Wenecję ptasie klany.

Odprowadziwszy wzrokiem pociąg i nawet doczekawszy momentu, aż ten rozpląnął się za horyzontem, Piller odwrócił się i już bez zbędnego pośpiechu ruszył z powrotem do miasta. Pomyślał, że mógł to być pociąg do Zurychu. Może nawet ten sam, którym przyjechał tu wczoraj. I teraz bez niego odjeżdżał w przeciwnym kierunku. Najpierw do Mediolanu, a stamtąd do rodzinnych Alp. Ta myśl sprawiła, że na duszy zrobiło mu się jeszcze gorzej, niż było.

Szwajcar przycisnął rękopis mocniej do siebie, przez co jego nadgarstek poczuł rękojeść rewolweru, który leżał na dnie kieszeni marynarki. Ciało mężczyzny zadrżało, jakby to nie on, a ktoś inny włożył tam broń niecałe pół godziny temu. Zaklął cicho i próbował sobie przypomnieć, czy jego schmidt jest zabezpieczony. Do diabła! A jeśli nie?... Wyobraził sobie, jak pistolet przypadkiem wystrzeliwuje w jego marynarce. Wydawało mu się, że umieścił go tak, że lufa wymierzona była wprost w jego genitalia. Znakomicie! Oto wręcza rękopis i w chwili, kiedy będzie sięgał po zapłatę, z głośnym hukiem odstrzeli sobie jaja. Nie można wyobrazić sobie głupszej sytuacji. Zatrzymał się i ponownie dotknął rewolweru, tym razem świadomie. Korciło go, by wyjąć broń z kieszeni i sprawdzić jej stan, ale znajdował się na środku ulicy. Mógł oczywiście się gdzieś schować, lecz nawet wówczas nie miałby pewności, czy nie przyciągnie wzroku mieszkańców lub, co gorsza, policji.

Próbując się uspokoić, zaczerpnął głębokiego oddechu i starał się przypomnieć sobie ten moment o poranku, kiedy szykował się do wyjścia z hotelu. Pamiętał, jak się ubierał, następnie bardzo ostrożnie, niczym porcelanowy wazon, położył na stole rękopis... Przypomniawszy sobie, jak wziął schmidta, przygotował jego amunicję i załadował nią bębenek... Potem włożył rękopis pod pachę, a rewolwer do kieszeni. Ale czy go zabezpieczył? Tego właśnie nie pamiętał!

Chociaż... wydało mu się, że jednak to zrobił. Tak, przed wsadzeniem broni do kieszeni zadbał o to, by przypadkowo nie wypaliła. Chwała niebiosom!

Ulga przyszła równie niespodziewanie jak sam problem. Serce mogło się w końcu uspokoić, a nastrój – poprawić.

Ku swojemu zdziwieniu Szwajcar zauważył, że w Wenecji są również i zaciszne miejsca. Po raz kolejny skręcając na chybił trafił, przystanął ze zdumienia. Ujrzał typowy, ale nieco już zaniedbany most w kształcie arki, który przerzucony przez mały bezimienny kanał, łączył dwa kwartały zabudowane wysokimi czteropiętrowymi domami, porośniętymi ciemnordzawym bluszczem i kwiatami. Kwiaty o tej porze roku powinny być jeszcze nieśmiałe i niepozorne, te tymczasem wyrzywały się na zewnątrz starych balkonów, przeciskając się przez balustrady niczym skazańcy przez więzienne kraty, chcący zaczerpnąć jak najwięcej powietrza i słońca. I cała ta kwiecisto-kamienista cisza wydała się nagle nienaturalna, jeśli nie nieznośna i bolesna dla ucha. Dlatego kiedy niczym ostry miecz przeszła ją pieśń gondoliera, Piller odczuł ulgę. Po chwili zobaczył, jak zza rogu wyłania się wysoki, zakrzywiony nos gondoli, na której wznosiła się postać mężczyzny w tradycyjnym kanotierze, białej koszuli, czarnych spodniach i czerwonym pasie zawiązanym wokół bioder. W rękę trzymał długie wiosło, choć można było odnieść wrażenie, że wcale nim nie operuje. Tak jakby kierował łodzią za pomocą myśli lub nieco frywolnej barkaroli, która dolatywała z jego ust:

*La biondina in gondoleta*

*L'altra sera g'ho menà:*

*Dal piacer la povereta,*

*La s'ha in bota indormenzà.*

*La dormiva su sto brazzo,*

*Mi ogni tanto la svegliava,*

*Ma la barca che ninava*

*La tornava a indormenzar...<sup>4</sup>*

Odprowadziwszy go wzrokiem, Anton ruszył dalej. Przeszedł przez most, za którym zaczynały się nierówne schody, prowadzące w dół do następnej uliczki. Ta okazała się ciemna i wilgotna jak podziemny korytarz, więc Piller przyspieszył kroku, by jak najszybciej się z niej wydostać. Jeszcze tego brakowało, by natknął się na jakichś zakapiorów albo innych miejscowych szubrawców, którzy nie odmówiliby sobie przyjemności porachowania kości przypadkowemu przechodniowi. Bez znaczenia z jakiego powodu.

---

<sup>4</sup> „Blondynkę zeszedł nocy/ Wiozłem w gondoli mej,/ I spała ona błogo/ Prosto w ramionach mych./ Budziłem ją co chwila,/ Lecz łódź znów ją do snu tuliła...” (z wł.).

Uliczka prowadziła do otoczonego kamiennym murem ogrodu. Kilka wątłych, prawie bezlistnych drzewek wyglądało zza płotu i wydawało się, że same dziwią się swojej obecności tutaj, wśród niezliczonych miejskich kamienic. Na obejście ogrodzenia Piller stracił sporo czasu. Zaczął nawet z niepokojem spoglądać na zegarek, poważnie obawiając się spóźnienia na tak ważne dla niego spotkanie. Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, gdzie jest i czy kieruje się we właściwą stronę.

Wreszcie, kiedy po raz dziesiąty przeklął się w duchu za ten idiotyczny pomysł spaceru po mieście, mur się skończył. Przed Pillerem znów pojawił się kanał i most niezwykle podobny do tego, przy którym słuchał pieśni gondoliera. Szwajcar zaczął się nawet zastanawiać, jakim cudem wrócił do poprzedniego miejsca, ale zauważył, że tutaj było jednak znacznie więcej ludzi. Przyczyną zgromadzenia był pływający targ, czyli gigantyczna łódź załadowana zbożem, mąką, świeżymi ziołami, suszonymi rybami i przyprawami w drewnianych skrzyniach. Dwóch żwawych handlarzy w zabrudzonych marynarkach zręcznie przekazało towar na brzeg, jednocześnie odbierając pieniądze i nie przestając targować się z klientami. Wydawało się, że kupcy mają znacznie więcej niż tylko dwie pary rąk. Podobnie na brzegu, gdzie z pustymi koszami zebrało się zaledwie kilkunastu miejscowych, panował taki gwar, jakby zbiegła się tutaj połowa mieszkańców Wenecji. Stojąc w bezładnej kolejce, ludzie korzystali z okazji, by przywitać się, pochwalić czymś, ponarzekać, a nawet pokłócić. Najwyraźniej w tej dzielnicy był to ustalony i długo wyczekiwany dzień. Dzień zakupów, choć one – jak można się było przekonać – wcale nie odgrywały głównej roli w tym pełnym życia, emocji i gestów spektaklu.

Piller pomyślał, że dobrze byłoby zapytać tych ludzi, gdzie znajduje się restauracja Marco Polo. Właśnie tam powinien być za czterdzieści minut. Sięgnął do kieszeni na piersi, skąd wyjął notes, w którym jeszcze w Szwajcarii zapisał nazwę lokalu. Aby to zrobić, musiał jeszcze mocniej ścisnąć pod pachą rękopis. Ten nieprzyjemny ruch wywołał u niego niepokój. Piller przestraszył się, że upuści rękopis na ziemię. Tak jakby zrobiony był z kryształu lub porcelany i mógł roztrzaskać się w drobny mak. Otworzywszy notes, spojrział na rodzinne zdjęcie z synem i żoną (jedyne wspólne, co uświadomił sobie po chwili). Młoda para, zaledwie rok po ślubie. Syn ma dwa lub trzy miesiące. Jest starannie zawinięty w śpioszki i spokojnie śpi w ramionach mamy. Anton stoi obok niej, delikatnie podtrzymując ją za łokieć. Fotograf męczył ich przez całe czterdzieści minut. Mały budził się od czasu do czasu i głośno płakał... Fotografia kosztowała dwa franki...

Nagle rękopis wyślizgnął mu się spod pachy i upadł prosto w rozdeptane błoto.

– Cholera! – Piller zaklął rozpaczliwie i szybko schował notatnik z powrotem do kieszeni.

Stało się najgorsze, co mogło się stać: zwój rozwinął się i strony rękopisu rozsypały się po ziemi. Szwajcar zaczął je pospiesznie zbierać, ale z przerażeniem zauważył, że mokra ziemia zdążyła już bezlitośnie przywrzeć do krawędzi papieru, a gdzieś tam nawet odbić się wilgotną plamą pośrodku tekstu. W ciągu kilku chwil strony rękopisu wchłonęły wszystko, czym żyło pobliskie targowisko: błoto, zgniliznę, resztki ryb i papierosowy popiół.

– Och, biedny signore! – litowała się nad Pillerem jakaś kobieta. Stała kilka kroków od niego i ze współczuciem potrząsała głową.

– Droga pani... – zwrócił się do niej Szwajcar. Stał, przyciskając do piersi pozbierane strony, i czuł, że gotów jest rozplakać się jak skrzywdzony podrostek. – Niech pani powie, na litość boską, gdzie znajduje się Marco Polo?

– Przepraszam, signore, ale nie wiem, gdzie to sprzedają – odpowiedziała kobieta.

– To nie jest towar – wyjaśnił Piller – to restauracja.

Wenecjanka nagle zmarszczyła brwi i obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

– Skądże mam wiedzieć? – burknęła. – Nie szlajam się po restauracjach.

I odwróciwszy się od niego, ruszyła w kierunku rynku.

– Niech pan idzie dalej tą ulicą, signore – odezwał się młody głos za plecami Pillera.

Szwajcar obejrzał się. Przed nim stał młody mężczyzna w znoszonym ubraniu, spoglądający na niego przez dym z papierosa. Jego oczy były przymrużone, jak u karcianego szulera przy stole w kasynie.

– Ile czasu mi to zajmie? – zapytał Anton.

– Około kwadransa. Minie pan trzy uliczki po prawej, przejdzie przez most podobny do tego i zobaczy duży szyld z napisem „Restauracja Marco Polo” – wyjaśnił młody człowiek. – Najważniejsze, żeby iść cały czas prosto.



– Dziękuję bardzo. – Piller skinął głową, wciąż jeszcze próbując przezwyciężyć narastającą rozpacz.

Jak, do diabła, ma teraz dać rękopis temu Saltiniemu?! Co on sobie pomyśli? Że Piller przypląnął do Wenecji na barce z krowami i kurami? Albo jechał w wagonie z szambem? I po to go tak hołubił, żeby teraz tak bezsensownie uświnić?

– Chyba należy mi się jakiś grosz – kontynuował młodzieniec – za fatygę, ale...

Wenecjanin machnął ręką i odszedł. Najwyraźniej Piller wyglądał tak nieszczęśliwie, że młody przechodzień stracił ochotę na dłuższe zadawanie się z nim.

Anton postanowił zebrać się w sobie i nie marnować więcej czasu. Czuł się podle, ale dobrze wiedział, że spóźnienie na tak ważne spotkanie ani trochę nie poprawi jego sytuacji. Jak we mgle ruszył we wskazanym kierunku, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Zatrzymał się dopiero, gdy tuż przed jego nosem pojawił się napis „Hotel i Restauracja Marco Polo”.

Lokal był typowy dla Wenecji: niskie, podłużne okna, ściany ozdobione kopiami obrazów Tintoretta<sup>5</sup> i wyblakłymi maskami karnawałowymi oraz małe, schludne stoliki nakryte białymi obrusami. Na zewnątrz znajdował się drewniany taras, gdzie na parapetach tłoczyły się donice z kwiatami.

Zapach jajecznicy z tuńczykiem niczym oberkelner witał przy wejściu pierwszych gości i Szwajcar znów ze złością wspomniawszy swoje nędzne śniadanie, przez które odczuwał nieprzyjemne skurcze w żołądku. Chociaż całkiem możliwe, że wywoływało je nerwowe podniecenie.

W środku z gości była tylko para starszych Amerykanów lub Anglików. Obok jajecznicy mieli przed sobą miseczki pełne podsmażanej fasolki oraz koszyki ze świeżym pieczywem. Do śniadania pili herbatę w dużych ceramicznych filiżankach. Rozmawiali leniwie, od czasu do czasu głośno się śmiejąc i kaszląc. Dość harmonijnie wpisywali się zresztą w to uspokajające wnętrze. Przed Szwajcarem niepostrzeżenie wyrósł uśmiechnięty łysy kelner.

– Chciałby pan zjeść u nas śniadanie, signore? – zapytał uprzejmie, z pewnym zdziwieniem spoglądając na rękopis, którego niepokładane strony Piller w dalszym ciągu przyciskał nerwowo do piersi.

Anton wzdrygnął się, jakby pojawienie się kelnera było dla niego czymś nieoczekiwanym.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Mam tu spotkanie...

Po tych słowach rozejrzał wokół, jednak nikogo prócz wspomnianej pary nie widział.

– Spotkanie? – zapytał kelner. – Więc to może pana oczekuje signore Saltini?

Wypowiedział imię cicho, jakby mówił coś nieprzyzwoitego lub sakralnego. Wystarczyło jednak, żeby ukłuło Pillera niczym gorąca igła. Aby ukryć lub uzasadnić swoje podenerwowanie, Szwajcar spojrział na zegarek. Do spotkania pozostało około ośmiu minut.

– Tak, mnie – odparł Piller. – Jednak...

– Signore Saltini poprosił, żeby poszedł pan do niego na górę. Czeka w pokoju numer siedemdziesiąt siedem.

„Czyli Saltini uznał, że na dole jest zbyt wiele uszu” – przebiegło Antonowi przez głowę.

W odpowiedzi skinął tylko głową i skierował się w stronę schodów, z jakiegoś powodu spoglądając raz jeszcze na zagraniczną parę, która w dalszym ciągu zajęta była wyłącznie sobą i nie zwracała na nikogo uwagi. Wydawało się, że Piller próbuje dostrzec, ile fasolki, jajecznicy i chleba pozostawili po sobie na stole. Niezbyt dużo. Najwidoczniej ta dwójka, pomimo swojego wieku, nie narzekała na słaby apetyt.

Właściwych drzwi w półmroku korytarza nie dało się od razu odnaleźć. Szwajcar z irytacją policzył w myślach, że zajęło mu to co najmniej dziesięć minut. To oznaczało, że na spotkanie spóźni się jakieś pięć minut.

Mężczyzna zapukał, po czym szorstki głos z drugiej strony zaprosił go do środka. Pokój numer siedemdziesiąt siedem okazał się czymś w rodzaju apartamentu, w którego przestronnym salonie, stojąc plecami do drzwi balkonowych, czekał na niego Domenico Saltini. Pomiędzy nim a Pillerem znajdował się stolik kawowy, na którym dopalały się w popielniczce resztki dwóch papierosów.

Możliwe, że Włochowi udało się wypalić oba, kiedy Piller siedział tutaj z restauracji. Przy stoliku zaś stały dwa szerokie fotele. Szwajcar po raz pierwszy poczuł, że sporo się dzisiaj nachodził, przez co wydały mu się one tym bardziej wygodne.

---

5 Tintoretto (właśc. Jacopo Robusti, 1518–1594) – artysta wenecki, przedstawiciel manieryzmu.

Saltini był mężczyzną wysokim, o krępej budowie ciała, typowej dla zapaśników. Miał krótką, mocną szyję, na której osadzona była całkowicie łyśa głowa. Piller próbował dostrzec jego twarz, jednak uniemożliwiało mu to poranne światło, które przedzierało się zza pleców Włocha. Ten tymczasem, z nieoczekiwaną uprzejmością, zrobił kilka kroków w kierunku gościa i wyciągnął rękę, by się przywitać. Gdy jego twarz się zbliżyła, Szwajcar z pewnym zdziwieniem stwierdził, że nie jest ona pozbawiona przyjemnych cech. W dodatku jaśniała życzliwością. Jedyne złamany nos burzył to wrażenie. Takie nosy mają albo pięściarze, albo uliczni poszukiwacze przygód.

– Miło pana poznać, panie Piller – powiedział Saltini, uśmiechając się szeroko. Mówił po niemiecku, i to bez najmniejszego akcentu. Anton był trochę zaskoczony i odpowiadając na powitanie, zauważył:

– Ma pan doskonałą wymowę, panie Saltini.

– Wymowa? – nie zrozumiał. – Co pan na myśli?

– Sądziłem, że będziemy rozmawiać po włosku.

– Ach, o to chodzi... Cóż, jeśli to panu nie przeszkadza, kontynuujmy, proszę, po niemiecku.

Po tych słowach Saltini zaprosił gestem Pillera, by ten zajął miejsce w fotelu.

„Ale przecież przetłumaczyłem ten rękopis właśnie z niemieckiego – omal nie wymknęło się Szwajcarowi – więc po jakiego diabła była moja praca, skoro Saltini sam może bez problemu go przeczytać?”

– Widzę, że przyniósł pan to, na co się umawialiśmy – powiedział z zadowoleniem Włoch, wskazując głową na papiery, które Piller trzymał w rękach.

– Tak – odpowiedział, czując, jak jego głos zaczął dziwnie chrypieć. – Więc jeśli pańskie wydawnictwo jest nadal zainteresowane...

– Oczywiście, że jest zainteresowane – przerwał mu Saltini. – Co więcej, natychmiast wypłacimy panu obiecaną sumę.

W końcu zamiast nerwów Szwajcar odczuł coś na kształt ulgi i zadowolenia. Włoch poczęstował go papierosem, który ten przyjął z wdzięcznością. Przez kilka sekund, gdy mężczyźni zapalali papierosy, w salonie panowała cisza. „Całkiem niezłe ecksteiny – pomyślał Piller, poznając etykietę i ze smakiem wdychając dym głęboko w płuca. – Okazuje się, że Włosi również cenią sobie niemiecki tytoń”. Położył na stolik rękopis i czekał, aż wydawca zechce go przejrzeć. Tymczasem Saltini tylko zerknął na niego przez zasłonę dymu i chrząknął z dezaprobatą, zauważając ślady weneckiego błota.

– Pieniądze mam przy sobie – kontynuował Włoch, obserwując, jak pod wpływem jego słów zmienia się wyraz twarzy Pillera.

– Cieszę się, że to słyszę – odparł Szwajcar.

– Jest jednak pewien warunek... – Powiedziawszy to, Saltini odchylił się do tyłu na krześle i zarzucił nogę na nogę. Następnie włożył papierosa do ust i ścisnął go swoimi cienkimi i regularnymi wargami. Te wargi zupełnie nie pasowały do jego łysej czaszki i złamanego nosa. Wydawało się, że znalazły się na tej twarzy zupełnie przypadkowo.

„Jaki jeszcze warunek, do ciężkiej cholery?!” – Szwajcar znów zaczął się denerwować, ale zachował tę myśl dla siebie.

– To doprawdy nic nadzwyczajnego – pospieszył go uspokoić rozmówca, a wypowiedziane słowa wyleciały z jego ust wraz z ciemnoniebieskim dymem. – Potrzebuję oryginału tego rękopisu.

– Ale ja go nie mam przy sobie – odpowiedział Piller.

– Naturalnie, że nie – uśmiechnął się Saltini. – Widzę, że przyszedł pan tu jedynie ze swoim tłumaczeniem. Oryginał, jak mniemam, pozostał w hotelu.

Szwajcar przecząco pokręcił głową.

– Oryginał został w Zurychu – powiedział.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwał Piller.

– Proszę posłuchać, panie Saltini... To wszystko jest trochę niepoważne. W żadnym z listów nie wspomniał pan, że potrzebuje oryginału – zaczął – a nawet jeśli by pan to zrobił, to obawiam się, że to całkowicie wykluczone. Rękopis powierzyła mi sama autorka i nie później niż za dwa miesiące mam odesłać go do Galicji... Umówiliśmy się, że przetłumaczę tekst na włoski

i przekażę go w umówionym terminie. Czyli dzisiaj... Pracowałem dniami i nocami, żeby zdążyć! Wydałem swoje ostatnie pieniądze na bilet do Wenecji, a tu okazuje się...

Wydawca pojednawczym gestem wyciągnął przed siebie dłoń, czym przerwał emocjonalną tyradę Szwajcara.

– Ma pan rację, panie Piller – oznajmił Saltini. – To prawda, nie wspomniałem panu o wszystkich warunkach. Wydaje mi się jednak, że dwóch rozsądnych ludzi zawsze może dojść do porozumienia. Powiedzmy, że podwoję pańskie honorarium, aby zrekompensować to nieporozumienie. Co pan na to?

Piller z trudem przełknął ślinę.

– Nie wiem, czy pan usłyszał, panie Saltini – odrzekł. – Powiedziałem przecież, że rękopis autorki został w Szwajcarii.

– W pańskim mieszkaniu?

– Nie, w bardziej bezpiecznym miejscu.

– Na litość boską, panie Piller! Żyjemy przecież w czasach postępu! – wykrzyknął nagle Włoch. – Niech pan wyśle do domu telegram i poprosi kogoś o przesłanie tego cholernego rękopisu pocztą do Wenecji. Oczywiście nie otrzymamy przesyłki na jutro, będziemy musieli trochę poczekać, ale zapewniam, że wszystkie koszty związane z pańskim pobylem w Wenecji biorę na siebie.

– Dlaczego tak bardzo potrzebuje pan oryginału? – zainteresował się Szwajcar. – Nie ufa pan mojemu tłumaczeniu?

Zagasiwszy niedopałek, wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł spocone czoło.

– Ależ co pan! Oczywiście, że ufam – zapewnił Saltini.

– Więc o co chodzi?

– To tajemnica zawodowa, panie Piller. Pozwoli pan, że nie będę jej ujawniać. – Głos wydawcy stał się bardziej kategoryczny i ostrzejszy. – Po prostu niech pan zrobi to, o co proszę.

– Już powiedziałem, że dałem słowo autorce...

– Do diabła! – Saltini uderzył dłonią o blat stolika. Po jego opanowaniu nie pozostał nawet ślad.

Piller zerwał się z fotela i stanął jak wryty, nie wiedząc, co ze sobą począć. Włoch również wstał. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, po czym Saltini skoczył gwałtownie ku drzwiom, zamknął je i włożył klucz do kieszeni swojej marynarki.

– Nie wyjdzie pan stąd, drogi panie, dopóki nie dojdziemy do porozumienia – rzucił w stronę Szwajcara.

– Od kiedy to wydawcy zachowują się jak zwykli mafiosi? – zapytał Piller.

– Cóż począć... – Saltini rozłożył ręce. – Coraz trudniej utrzymać się na rynku. Na półkach roi się od tanich francuskich romansów, czytelnikom coraz ciężiej dogodzić, a władza swoimi podatkami zdiera z nas skórę. Więc nie pozostaje nic innego, jak przyprzeć do ściany tłumacza.

– I co pan zamierza? – spytał przerażony Szwajcar.

– Łagodnie namówić pana do zaakceptowania moich warunków.

– A co z autorką?

– Damy jej jeden wydrukowany egzemplarz. Co do rękopisu, to powie pan, że go zgubił.

Nie namyślając się, Piller podbiegł do drzwi balkonowych, gdzie jeszcze przed kilkoma minutami stał Saltini.

– Niech pan się nie wygłupia, do cholery! – usłyszał za plecami głos wydawcy, ale zignorował go i napał mocno na klamkę. Ta nie ustępowała. Ponownie spróbował otworzyć drzwi, a potem jeszcze raz, jednak bezskutecznie. Poczł, jak Włoch zbliża się do niego, i wtem przypomniał sobie o rewolwerze. W jednej chwili sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd schmidta. Pomimo zdenerwowania udało mu się odbezpieczyć broń i skierować ją w stronę Saltiniego. Ten zatrzymał się dwa kroki przed nim.

– Nie ruszaj się! – Piller nakazał łysolowi, zauważając z zadowoleniem, jak temu szczęka opada ze zdziwienia.

– Oszalał pan? – spytał Włoch. – Bierze pan broń na literackie negocjacje?

– Sam pan powiedział, że to niebezpieczna działalność – uśmiechnął się krzywo Szwajcar. – Szczególnie jeśli ma się do czynienia z pseudowydawcą.

– O czym pan mówi? – Twarz Saltiniego zapłonęła oburzeniem.

– Dość tych komedii! Wygląda pan raczej na wykidajkę z taniej knajpy niż na człowieka wywodzącego się ze świata książek! – krzyknął Piller. – I skąd zna pan tak dobrze niemiecki?

– Sądzi pan, że Włoch nie może mówić po niemiecku?

– Oczywiście, że może. Ale raczej nie z bawarskim akcentem!

Saltini westchnął i skinął głową z uśmiechem, jakby w przyjaznym towarzystwie ktoś rozwiązał jego sprytną zagadkę.

– Austriackim – powiedział.

– Co? – Piller nie zrozumiał.

– Mam austriacki akcent. Pochodzę z Salzburga i nigdy nie byłem w Bawarii.

Po raz kolejny zapadła cisza. Piller nie opuszczał broni, próbując jednocześnie wymyślić, co powinien zrobić w tej sytuacji. Najgorsze było to, że zostawił rękopis na stoliku i żeby dostać się do niego, musiałby znowu przejść obok tego osiłka.

Gdzieś pod nimi ktoś zaczął grać na pianinie. Piller rozpoznał nawet melodię – Schubert, *Sonata A-dur*, część druga *Andante*. Przypomniawszy sobie, że jego żona uważała ten utwór za najdoskonalsze dzieło fortepianowe. Nie zgadzał się z nią, choć również lubił Schuberta. Czasem się nawet o to kłócili... I pomyśleć, że spierali się o muzykę! Z drugiej strony czy istnieje na tym świecie lepszy powód do kłótni?

Saltini wykonał nagle gwałtowny krok w jego stronę i Szwajcar niemal odruchowo nacisnął spust. Rozległ się strzał, zagłuszający sonatę i rozbijający ją na kawałki niczym kryształowy wazon. Włoch uchylił się, dzięki czemu kula nawet go nie drasnęła. Piller odczuł nawet pewną ulgę, choć w tym samym momencie zauważył, że łysy olbrzym również chwycił za broń i natychmiast, bez wahania, strzelił w jego kierunku. Był to ostatnie, co ujrzał przed śmiercią Anton Piller.

Jego odrzucone przez siłę wystrzału ciało rozbiło szybę drzwi balkonowych i przechyliło się przez niską balustradę. Wisiało tak kilka chwil, po czym runęło głową w dół do kanału, gdzie wzbijając fontannę wody, zamarło ostatecznie i spokojnie odpłynęło wraz z nurtem.

Okolica była niebywale piękna i całkowicie bezludna...

## II

### Baden

9 kwietnia 1906

Młody asystent Felix Kraut nienawidził nocnych zmian. Wiedział, że wszyscy asystenci doktora Rickego muszą odpracowywać nocne dyżury i czuwać nad chorymi psychicznie pacjentami. Wiedział o tym już wówczas, kiedy wypraszał dla siebie posadę w miejscowym szpitalu. Co więcej, studiując medycynę w Düsseldorfie, doskonale zdawał sobie sprawę, że będzie musiał najpierw odbębnić najbardziej żmudną i nieprzyjemną robotę. Mimo wszystko nie mógł się do tego przyzwyczaić. W ciągu dnia czas szybko mijał. Doktor Ricke był pracoholikiem, rzucał się w wir pracy, zmuszając do tego samego swoich podwładnych. Czasami Felixowi zdawało się, że minęła tylko godzina, podczas gdy ze zdziwieniem uświadamiał sobie, że dzień pracy właśnie dobiega końca. Kochał medycynę, był wdzięczny swojemu przełożonemu za możliwość łączenia pracy i nauki, jednak z całego serca nienawidził tych przeklętych nocnych zmian.

Zresztą nie było w tym nic dziwnego. Felix miał zaledwie dwadzieścia pięć lat i wolałby spędzać noce pod kołdrą ze swoją Gretą niż samemu w zatęchłej komórce, która dumnie nazywała się jego gabinetem. Nie było tu miejsca, żeby się choć na chwilę zdrzemnąć, chyba że na stole, wspierając głowę na łokciach. Podczas zmiany musiał pięć razy robić obchód w towarzystwie dwóch sanitariuszy. Wszystkie trzydzieści sal kliniki psychiatrycznej Świętego Klemensa musiało być dyskretnie obejrzanych, aby sprawdzić, czy z pacjentami wszystko w porządku, nie zakłócając jednocześnie ich snu.

Do pierwszego tej nocy obchodu pozostało dwadzieścia minut. Wystarczająco, żeby zaparzyć kolejną kawę, i za mało, aby uciąć sobie drzemkę przy stole. „Co w tej chwili robi Greta?” – zastanawiał się. Podczas nocnych zmian poza nudą i zmęczeniem

dotatkowo dręczyła go zazdrość. A co, jeśli jego dwudziestoletnia żona sypia z innym? Myśli gryzły go od środka i za każdym razem ledwo powstrzymywał się przed ucieczką do domu.

Złe języki niestrudzenie powtarzały, że jest dla niego zbyt piękna. Zbyt smukła i obdarzona zbyt obfitym biustem. On tymczasem był niepozorny, przygarbiony i piekielnie zazdrosny. Kochając się z Gretą, Felix uporczywie wpatrywał się w jej twarz. „Czy jest jej wystarczająco dobrze?” – pytał sam siebie. I za każdym razem wydawało mu się, że nie... Że to jej nie wystarcza. Że jego możliwości są zbyt małe. Miłosne i, szczerze mówiąc, także finansowe. Żyli bowiem pozbawieni większych luksusów.

Kawa pokrzepiła go trochę, więc kiedy sanitariusz zapukał do drzwi, Kraut czuł się już znacznie lepiej. Wziął ze sobą listę pacjentów i wyszedł na korytarz. Sanitariusze ustawili się pod ścianą niczym dwa golem i w milczeniu spoglądali przed siebie. Bez wątpienia im także najzwyczajniej w świecie chciało się spać.

– No dobrze, panowie – powiedział asystent, jakby przekonując ich o nieuchronności tego, co ich czeka. – Przejdziemy się prędko, a potem wrócimy każdy do swojej nory.

Ruszył szpitalnym korytarzem, słabo rozjaśnionym matowym światłem elektrycznym. Większość pacjentów spała, niektórzy siedzieli na łózkach i w milczeniu wpatrywali się w przeciwległą ścianę, ktoś inny wygłaszał po cichu niekończący się monolog. „Wszystko wskazuje na to – pomyślał Kraut – że noc powinna minąć spokojnie”.

Zbliżając się do sali numer dwadzieścia osiem, asystent spowolnił krok, aby odszukać na liście pacjenta, którego umieszczono tam dwa miesiące temu. Doktor Ricke trzymał historię jego choroby w swoim gabinecie, nigdy nie pokazując jej Felixowi. Na liście widniał jako Jasza, czterdziestotrzyletni Rosjanin. Z notatek wynikało, że pacjent jest spokojny i słabo mówi po niemiecku. Tego, jak się tu dostał i jak długo tu pozostanie, asystent również nie wiedział.

Odchyliwszy metalowe skrzydło drzwi, Kraut zajrzał do sali. Pierwszym, na co zwrócił uwagę, było zapalone światło, ponieważ o tej porze było to zabronione. Przestrzeżenie tego zakazu było zdaniem doktora Rickiego niezwykle ważne dla pacjentów, po dwudziestej trzeciej pozwalano im jedynie na włączanie małej lampki nad łóżkiem. Sam Jasza – chudy i wyglądający na skrajnie wyczerpanego mężczyzna ze schludnie przystrzyżoną bródką – siedział przy stole, na którym leżała przed nim książka. Ujrawszy w szczelinie drzwi twarz Krauta, machnął ręką, zapraszając go do środka.

– Proszę otworzyć drzwi – polecił Felix sanitariuszowi, który nosił przy pasie spory pęk kluczy. – Ten pacjent czegoś ode mnie chce.

Golem w białym kitlu niechętnie wykonał polecenie. Kiedy otworzył drzwi, najpierw sam wszedł do sali, a dopiero potem wpuścił Krauta. Felix po raz pierwszy zobaczył tego pacjenta z bliska. W ciągu dnia odwiedzał go jedynie doktor Ricke, a w nocy Jasza zazwyczaj spał posłusznie, nie stwarzając dyżurującym najmniejszych problemów.

– Późno już – powiedział łagodnie Felix do pacjenta. – Musi pan zgasić światło.

– Proszę wybaczyć, doktorze. Zostawiłem włączone, bo chciałem z panem porozmawiać.

Rosjanin mówił z wyczuwalnym akcentem, jednak poziom jego niemieckiego był całkiem przyzwoity.

– Ze mną? – zdziwił się Felix. – Może jednak z doktorem Rickem?

– Nie, właśnie z panem – upierał się Jasza.

– Przecież my się zupełnie nie znamy.

– Tak pan sądzi? Przecież zna pan historię mojej choroby, a ja widziałem pana kilkukrotnie podczas spaceru. Czy to nie wystarczy?

Asystent przyjrzał się uważnie rozmówcy. Ten odwzajemniał się wnikliwym spojrzeniem swoich czarnych, trochę zapadniętych oczu. Nad nimi i ostrym łukiem brwi wznosiło się szerokie, arystokratyczne czoło. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Policzki zaś dokładnie wygolone aż do miejsca, w którym zaczynała się zadbana bródka. Jego wargi były cienkie i blade. Ścisnął je mocno, jakby w obawie, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

– Myli się pan, nie widziałem pańskiej karty – odrzekł Felix. „To ma być chory człowiek? – przemknęło mu przez myśl. – Jeśli tak, to ja nie jestem wiele zdrowszy od niego”.

– A jednak poproszę pana o rozmowę, doktorze. Proszę mi wierzyć, sprawa jest bardzo ważna – zapewnił Jasza. – Powiem panu na osobności.

– Czy to ma związek z pańskim stanem zdrowia?

– Jestem pewien, że tak – odparł i skinął głową.

Felix spojrział na sanitariuszy. Na ich kamiennych twarzach można było odczytać całkowity brak przekonania co do tego pomysłu oraz chęć jak najszybszego zabrania stąd Krauta, by móc wreszcie zatrzaskać drzwi sali i kontynuować drzemkę aż do następnego obchodu.

– Dobrze – zgodził się Felix – jeśli potrzebuje pan pomocy, to nie mogę odmówić. Poczekaście za drzwiami – nakazał golemom.

Ci ustąpili niechętnie, cały czas obrzucając Jaszę niezbyt życzliwymi spojrzeniami.

Pozostawiony sam na sam z asystentem, Rosjanin przez dłuższą chwilę milczał, jakby zbierał myśli. Kraut usiadł na krześle naprzeciwko niego, obserwując mimikę i najdrobniejsze ruchy pacjenta. W myślach próbował dojść, co mogło tak zaniepokoić tego dziwnego Jaszę. Ten w końcu przemówił:

– Potrzebuję pomocy, panie Kraut.

Jasza mówił ściszym głosem, co chwila zerkając na drzwi, za którymi stali sanitariusze. Wydawało się, że nie chce, aby rozmowa dotarła do ich uszu.

– Oczywiście – odparł Felix – dlatego jesteśmy w klinice.

– Niech pan da spokój – przerwał mu Jasza ze zniecierpliwieniem – nie chodzi mi o medycynę. I szczerze mówiąc, nie jestem bardziej chory niż pan i ci dwaj idioci na korytarzu.

Asystent spojrział na niego z oburzeniem i już miał wstać, kiedy pseudopacjent delikatnie przytrzymał go za rękę.

– Błagam, niech pan nie odchodzi – szepnął.

– Szanowny panie – powiedział trochę nerwowo asystent. – Nie mam pojęcia, co pan tu robi i czego pan chce, ale to sprawa pomiędzy panem a doktorem Rickem. Nie będę się w to mieszał.

– Na litość boską – nie odpuszczał tamten – odwdzięczę się.

Po tych słowach Jasza sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złoty pierścień ze szmaragdem.

– Proszę. Ta rzecz jest warta fortunę. Jest pańska...

Felixowi raptownie zaschło w gardle. Pożądliwie zerknął na połyskujące w elektrycznym świetle cudo, po czym podszedł do drzwi i sprawdził, czy są dobrze zamknięte. Odczekał kilka sekund, przysłuchując się rozmowom sanitariuszy na korytarzu. Następnie odwrócił się i usiadł z powrotem na krześle.

– Proszę się upewnić, że jest prawdziwy – powiedział Rosjanin, wciskając pierścień w jego dłoń. – To rodzinny klejnot, daję głowę, że nigdy w życiu nie widział pan czegoś podobnego.

Zdecydowanie miał rację. Najcenniejszym skarbem w domu Felixa i jego żony był srebrny łańcuszek, który Greta jako dziecko otrzymała w prezencie od swojej matki chrzestnej. Ewentualnie jego zegarek. Wyglądał na drogi, ale każdy jubiler na pierwszy rzut oka rozpoznalby, że nie jest wykonany z prawdziwego złota. Tak naprawdę nie kosztował więcej niż lunch w przeciętnej restauracji.

Felix nie wziął jednak pierścienia. Gdzieś w środku obudziła się w nim ostrożność i podejrzliwość.

– Czego chce pan w zamian? – zapytał.

– Jednej małej przysługi.

– Jakiej?

Nie odrywając wzroku od rozmówcy, Jasza zamilkł na chwilę, jakby tylko po to, żeby przygryźć swoją bezkrwistą wargę, a potem powiedział:

– Jutro w tym mieście, w hotelu Pod Złotym Jeleniem zamelduje się pewien rosyjski arystokrata. Hrabia Orłow. To wysoki mężczyzna koło czterdziestki. Trochę przysadzisty. Łatwo go pan rozpozna... Można go zastać w dwóch miejscach: w pokoju hotelowym lub w klubie Pigmalion. Tam najczęściej trwoni swój czas, przesiadując przy karcianym stole.

- A do czego ja byłbym potrzebny? – zapytał Felix.
- Chciałbym, żeby przekazał pan mu list ode mnie. Do rąk własnych.
- To wszystko?

Jasza przytaknął.

- Mówiłem, że to banalna przysługa.

– Jednak jest pan gotów szczerze się za nią odwdziżyć. – Kraut spojrział uważnie na pierścień, który pozostawał w rękach pacjenta. Ten trzymał go niedbale dwoma palcami, jakby podkreślając, że lekarz może go zabrać w każdej chwili.

- To dla mnie niezwykle ważne, żeby hrabia otrzymał ten list.
- Co w nim jest?
- Wiadomość, że tutaj jestem i proszę o odwiedzinę.
- Doprawdy nic więcej?
- Nic.

Asystent nie spieszył się z odpowiedzią. Było widać, że walczy z wątpliwościami.

- Mówił pan o tym doktorowi Rickemu?

- O czym?

- O tym hrabim... Orłowie... O tym, że chce się pan z nim spotkać.

- Nie – odparł stanowczo pacjent. – I proszę, żeby się pan nie zdradził doktorowi z naszą rozmową.

Kraut wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma potrzeby ani ochoty rozmawiać o tym ze swoim przełożonym.

- Proszę obiecać, że przemilczy pan naszą rozmowę – nalegał Jasza.
- Obiecuję – powiedział Felix.

Rosjanin przekartkował leżącą przed nim książkę i wyciągnął z niej zapieczętowaną kopertę. Nie było na niej żadnej wzmianki o odbiorcy, a jedynie brudne ślady po kleju.

- Więc jak będzie? – zapytał. – Czy mogę na panu polegać?

Felix w końcu przytaknął głową w milczeniu i schował list do kieszeni kitla. Następnie wziął od pacjenta pierścień i ściskając go w dłoni, wyszedł z sali. Sanitariusze palili papierosy na korytarzu, a ujrawszy asystenta, natychmiast zaczęli je gasić. Palenie było tu całkowicie zabronione, ale te draby wiedziały, że asystent Kraut nie będzie dla nich zbyt surowy. W nocy przepisy łagodniały i nie trzeba było ich aż tak skrupulatnie przestrzegać...

Felix wracał do domu zazwyczaj o wpół do dziewiątej rano. O ósmej do kliniki przychodził doktor Ricke. Przez piętnaście minut wypytywał asystenta o nocny dyżur, po czym go zwalniał. Dziś lekarzowi wydało się, że Felix zachowuje się dziwnie: niewiele mówił i gubił się w relacji.

- Czy nie jest pan czasem chory, panie Kraut? – zapytał z troską o zdrowie swojego podwładnego.

Ten odpowiedział, że rzeczywiście czuje się nieco gorzej. Było to oczywiście kłamstwo, bo tak naprawdę zajmował go wyłącznie Rosjanin, list i pierścień, który leżąc w kieszeni kamizelki, delikatnie wciskał mu się między żebra. Poza tym Felixowi było najwyczejniej w świecie wstyd, ponieważ po raz pierwszy w swej karierze zrobił coś za plecami swojego mentora.

Doktor na szczęście niczego nie podejrzewał i poradził asystentowi, aby ten wypił kieliszek koniaku i dobrze się wyspał. Obiecawszy tak zrobić, Felix w pośpiechu opuścił klinikę. Dotarcie do domu zajęło mu piętnaście minut. W sypialni było pusto. Greta, jak zawsze w tym czasie, była już w pracy. Służyła jako guwernantka u zamożnej szwajcarskiej rodziny, która przeniosła się do Baden dwa lata temu. Uczyła dzieci francuskiego oraz tańca, a wieczorem zabierała je do teatru. Nie rozbierając się, Felix rzucił się na łóżko i zanurzył twarz w poduszce. Z lubością wdychał znajomy zniewalający zapach, w którym doskonale rozpoznawał każdą nutę: mydło, olejek do skóry i maść na sen, którą jego żona nakładała sobie na skronie. Greta zawsze tak pachniała, kiedy kładła się do łóżka. Zapach ten budził w nim zarówno pożądanie, jak i zazdrość. Bezlitośnie obnażał jego zwątpienie i brak pewności siebie.

Felix przez pół godziny próbował zasnąć, ale na próżno. W końcu darował sobie odpoczynek, wstał i doprowadził się do porządku. Po kilku minutach wyszedł na śniadanie do swojej ulubionej knajpy za rogiem. Jego ręka co chwila wędrowała do

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

